

Pani Łyzeczka, Każda historia ma swój dalszy ciąg...

Każda Historia ma swój koniec. Nadchodzi taki dzień, gdy dzwonek telefonu może oznaczać już tylko jedno i nawet nie trzeba nic mówić.

Każda Historia ma swój koniec. Nadchodzi taki dzień, gdy dzwonek telefonu może oznaczać już tylko jedno i nawet nie trzeba nic mówić.

Po prostu Historia odeszła.

Do drogi pakowała się już od jakiegoś czasu. Tysiące torebek, jedna w drugiej jak matrioszki, czekały załadowane różnymi skarbami. Ale ona wciąż je otwierała, przekładała, przepakowywała. Mogła tak w nieskończoność. To była taka obsesja podeszłego wieku. Podobno każdy jakąś ma. A ona chciała być gotowa do odejścia. W jednej z nich odnaleziono obrączkę jej męża. Na razie nikt nie wie, co się stało z jej własną. Prawdę mówiąc uwierzyłam już, że to nigdy nie nastąpi. Nie kończą się przecież sprawy nieśmiertelne. A ona tyle razy wybierała się na tamtą stronę i tyle razy pozostawała po tej, iż byłam skłonna przypuszczać, że i tym razem w końcu puści do nas oko i podniesie się – aby jak zwykle trochę nas wszystkich obsztorcować. Przecież nie może nagle zniknąć cały świat. Świat mojej Historii zaczął się w pewnej wiosce pod Sandomierzem. Tam, gdzie byłam w tym roku, stojąc na ziemi suszącej się po niedawnej powodzi. Tutaj pewnie poznali się jej rodzice. A potem przenieśli się do Surochowa – małej wioski pod Jarosławiem. Tak się urodziła. Była ostra zima i wielkie śniegi, a dziecko małe i słabe. Z obawy, że nie przeżyje, spakowano je w sanie i powieziono na drugą stronę Sanu – do miasta. Tam był ich kościół

parafialny. I tam ją ochrzczono. Mimo obaw, dziewczynka przeżyła nie tylko tę zimę, ale i dziewięćdziesiąt kolejnych. Moja Historia zdążyła mi wiele opowiedzieć o swoim świecie. O tym, jak rodzice w obawie przed bolszewikami wyjechali w 1920 roku do Wielkopolski. O tym, jak przychodzili na świat kolejni bracia. Potem jedna siostra, ta, która zaraz umarła. Rok później zmarła jej matka, moja prababcia Agnieszka. To na jej grób chodziliśmy zawsze przez las i sadziłyśmy na nim kwiaty. Moja Historia śpiewała nam o kalinie, która rosła liściem szerokim i o dzwoneczkach, tych liliowych, co grały przez dąbrowę. A potem wspominała swoją macochę, źle ją wspominała. I trzy nowe siostry, którymi musiała się zajmować i całe gospodarstwo i piękne nowe korale. Dostała je w prezencie, ale jakaś dziewczyna ze wsi jej ukradła. I kolejnych pretendentów do ręki, z których żaden nie podobał się macosze. Podobno kiedyś topiła się w przerębli i było z nią już krucho. Jednak wyszła z tego. W domu mówili na nią „Janka” i tak już do niej przylgnęło. – A przecież ja jestem Joanna – podkreślała. – Janka to zdrobnienie od Janiny. Nigdy się tego nie pozbyła. Nawet wnuki zawsze mówiły o niej „babcia Janka”, nawet ksiądz pogrzeb zaczął odprawiać za śp. Janinę. Dopiero upomniany, zreflektował się. Ot, ironia losu. + + +

Moja Historia przeżyła wielką wojnę. W pierwszym jej dniu, dwudziestoletnia wówczas panna, kupiła sobie słownik i podręcznik do nauki niemieckiego. Był to chyba najcenniejszy zakup jej życia. Wraz z kuzynką uciekły z transportu na roboty i same dostały się do miasteczka. Tutaj znajoma z urzędu załatwiła im bezpieczniejszą pracę. Przez całą wojnę była pokojówką u Niemców, którzy zamieszkali w jednej z kamienic. Dzieci im chowała, sprzątała, podawała do stołu. I nigdy nie przyznała się, jak wiele rozumie z rozmów, jakie nowi właściciele toczą przy tym stole. Wieczorami, w swoim pokoiku na strychu, sprawdzała w słowniku wyrażenia, które zapamiętała w ciągu dnia. Pewnego razu wybrała się do Sandomierza – bo akurat tutaj był na robotach jej brat. Wiele lat później kręciła głową na to wspomnienie mówiąc, że sama nie rozumie, jak mogła być tak lekkomyślna. Przecież mogła zginąć. Najbliżej śmierci była wówczas, gdy pewien młody żołnierz niemiecki wziął ją za swoją rodaczkę i wsadził do wagonu, którym sam jechał. Wagonu dla Niemców. Na szczęście konduktorowi wyjaśnił w krótkich żołnierskich słowach, że ta dama jest pod jego opieką i nie należy jej sprawdzać dokumentów. Jeszcze długo potem przysyłał jej listy z prośbą o rękę, ale moja Historia twardo odmawiała: po pierwsze, bo to Niemiec, a po drugie, bo nie wyjdzie za mąż przed końcem wojny. Nie chciała rodzić dzieci w takich czasach. Przetrwiała.

+ + + Po wojnie chciała zostać nauczycielką. Nieraz wspominała z

goryczą, że gdyby żyła jeszcze raz – poszłaby do zakonu. Czy naprawdę było to możliwe, tego nie wiem. Nauczycielką jednak nie została. Jako osoba pobożna, usłuchała nakazu pewnego księdza, który stwierdził stanowczo, że teraz, po wojnie, gdy naród taki wyniszczony, czas jest, by dzieci rodzić, a nie ślubować celibatu. Urodziła więc ich czworo. Skąd wzięła męża? Z najmniej oczekiwanego źródła. Jedną z sióstr jej macochy, ciotka Maryla – żona wujka artysty, mieszkając a w Poznaniu i najbardziej światowa z całej rodziny – otóż ta ciotka spytała ją pewnego dnia: - A nie wyszłabyś ty za naszego Florka? Florek był jednym z młodszych braci, dobiegającym już czterdziestki i uchodzącym w związku z tym za starego kawalera. Co tą moją Historię podkusiło, by się zgodzić, tego nie wiem, ale zawsze już wspominała, że macocha nie mogła przeżyć takiej zniewagi. Pojechała więc do starego dworku, na spotkanie rozpoznawcze. Weszła, usiadła na pierwszym krześle, tyłem do drzwi: - I tak siedzę na nim do dziś – wspominała później. – Florek czekał na mnie w domu i myślał sobie: „jeśli przyjdzie i usiądzie na tym miejscu, to się z nią ożenię”. I tak właśnie się stało. Z pasierbicy została bratową. Dlatego właśnie jedna z jej synowych do dziś nie może zrozumieć, gdy jej mąż tłumaczy zawłości koligacji rodzinnych: „Widzisz, to jest przyrodnia siostra mojej matki, a więc moja ciotka. Ale jednocześnie jest to siostrzenica mojego ojca, a więc moja kuzynka.” W zasadzie cały świat był przeciwko nim. Dziadek, o dwanaście lat starszy, i ona – nigdy niezaakceptowana w rodzinie. Z jedną z jego sióstr nie rozmawiała do śmierci, choć mieszkały niedaleko. Z ogrodu było widać tamten dom, przy głównej drodze. Moja Historia wspominała czasem z goryczą: - Opiekowałam się ich ojcem – moim teściem, zanim umarł. To ja go znosiłam w starości. A potem, po jego śmierci, przyszła tutaj i wszystko z domu mi wyniosła, że to niby jej się należy. Tutaj, z tych okien zasłony zdzierała krzycząc, że to jej. Ja to do dziś pamiętam. Przebaczyłam już dawno, bo to nie po chrześcijańsku, ale zapomnieć nie mogę. I nie zapomnę – dodawała z pewną zaciętością. Rozum wybaczył, serce – nie. A jednak dziadków wspominam jako zgodne małżeństwo. Moja Historia, ruchliwa i apodyktyczna, trzęsła całym gospodarstwem. Jej mąż, uosobienie spokoju, wysłuchiwał wszystkiego w milczeniu i robił swoje. Nigdy nie słyszałam, by się kłócili. - Zgoda buduje, niezgoda rujnuje – powtarzała. Gdy najmłodszy syn miał dwa lata, chorowała na gruźlicę. W zasadzie była już prawie na tamtym świecie, ale w końcu się podniosła. Z okresu po chorobie pozostały zdjęcia z jej twarzą, nagle tak wychudzoną i pociągłą. Wspominała z bólem, że mały synek przychodził, wyciągał rączki, a ona nie mogła go nawet przytulić. Podobno cały czas modliła się do świętego Józefa, żeby

wyprosił jej jeszcze dwadzieścia lat życia. Nie chciała odchodzić za wcześnie, jak jej matka, nie chciała opuszczać dzieci tak, jak kiedyś sama została opuszczona. Święty Józef ją wysłuchał, i to z nawiązką: zamiast lat dwudziestu, otrzymała jeszcze pięćdziesiąt pięć. Tak jak ksiądz nakazał, przysłużyła się ojczyźnie. Wychowała czwórkę dzieci, z których każde poszło na studia. Odchodząc, miała jedenaścioro wnucząt, siedmioro prawnucząt i troje kolejnych w drodze. Przeżyła dwóch synów. + + + Jej świat, który ja pamiętam, to podupadający stary dworek, meble po ciotce Maryli, stara pompa na podwórzu. Owce w dużej oborze i koń i kaczki. Potem już tylko pies i kot. Potem ruina. Nie, ruiny nie widziałam i nigdy nie przyjęłam do wiadomości. Stary dworek gdzieś we mnie ciągle siedzi, tak samo jak siedzi we mnie jej świat i Historia. To są rzeczy, których nie da się już usunąć. I tego odejścia też jeszcze nie przyjmuję. Przecież nie odchodzą sprawy wieczne, które zawsze były. Takie rzeczy się nie zdarzają. + + +

Jechaliśmy tydzień temu przez pół Polski. To była moja ostatnia droga w tamte strony. Nawet jeśli kiedyś jeszcze tam się wybiorę, będzie to zupełnie inny świat. Taki, w którym nie ma miejsca na wspomnienie czerwonych koralików, ani kaliny z liściem szerokim. W którym nikt nie westchnie z żalem, że nie miał matki i nie będzie nakazywał wachać geranium oraz zażywać syropu z aloesu. Świat pozbawiony swojej treści będzie czymś zupełnie innym. + + +

Na pewnej ławeczce niebieskiej nastąpiło poruszenie. Szachownica z niedokończoną jak zwykle partią zsunęła się niebezpiecznie po krawędzi, ale nie spadła. Wszak jesteśmy w Niebie. Trzej mężczyźni poderwali się, by przywitać nadchodzącą drobną postać. Na wszelki wypadek wygładzili ubrania i poprawili mankiety. A ona, trochę pewnie z przyzwyczajenia, zaczęła od upominania ich: - Co to za beczyność? Zwierzęta nakarmione? Dach załatany? Siano zwiezione? Popatrzyli po sobie lekko zakłopotani, aż najstarszy podszedł i pocałował ją w policzek: - Witaj. Dobrze, że już jesteś. Nie chciałem spędzać tu kolejnych Świąt bez ciebie.. Popatrzyła na niego uważnie i oczy jej zwilgotniały. - Zmarniałeś przez te lata. Dobrze cię karmią? Zaraz się wszystkim zajmę. Siano pod obrus mamy? - Tu jest wszystko – wyjaśnili spokojnie. - O nic już nie musisz się martwić. Chcieli jeszcze coś dodać, ale ona nagle odwróciła się i pobiegła w głąb sadu. Tak lekko, jakby nie miała wcale na karku tych wszystkich lat, jakby zawsze mogła biegać przez sad nie przejmując się, że coś boli albo strzyka, że nogi nie chcą nosić. Tu chciały. Biegła wprost w ramiona tej, za którą tęskniła przez ostatnie osiemdziesiąt dwa lata... Bo oto była znów małą dziewczynką, która chowa się w sukniach matki szepcząc ze wzruszenia: - Dobrze, że mnie już do siebie zabrałaś. + + +

Na cmentarzu staliśmy w śniegu, marznąc od stóp. To taka tradycja rodzinna, że wszystkie pogrzeby odbywają się, gdy jest zimno. Dzieci rzuciły za nią swoje kwiatki zrobione z bibuły. Ona nie chciała takich z kwiaciarni. Powtarzała, że mamy jej przynieść kwiaty z ogrodu, albo z łąki. Pewnie nie brała pod uwagę, że może to nastąpić w grudniu, na śniegu... Staliśmy w tym śniegu i patrzyliśmy, jak tyle już razy, w dół, na drewnianą skrzynkę okrytą kwiatami. Nasza Historia jest już po tamtej stronie. Tam ma swój dalszy ciąg, który kiedyś pewnie poznamy. Przecież każda Historia ma swój dalszy ciąg...

Pani Łyczeczka

Salon24.pl